Władysław Witwicki

Opowiadanie indyjskie

Źródło: W. Witwicki, *Wiara oświeconych*, Warszawa 1980, s. 103-104.

W jednym z miesięczników angielskich z roku 1928 znajduje się opis następującego zdarzenia. Brzmi: „Radża Dewanagiri, człowiek niezmiernie bogaty i niesłychanie wpływowy, a przy tym najlepszego serca, wysoce oświecony i przewidujący, znawca dusz a osobliwy miłośnik młodzieży, założyciel i kierownik pierwszej ośmioklasowej szkoły męskiej w swym dziedzicznym mieście powiatowym Silchar w Indiach Zagangesowych, pragnąc raz na zawsze uszczęśliwić całą młodzież swej prowincji, w której poprzednio żadnej szkoły na modłę europejską nie było, a sobie zaskarbić cześć i wdzięczną pamięć u współczesnych i u potomnych, urządził był w roku 1873 w swym dziedzicznym miasteczku własnym kosztem wspaniały pensjonat dla młodzieży, a przy nim park gimnastyczny z basenami do pływania, placami sportowymi, otworzył w tym zakładzie bogatą bibliotekę bezpłatną, przepyszną salę koncertową, znakomicie wyposażone warsztaty i równie bezpłatny bufet. Były to dary dla miejscowej młodzieży zupełnie nieoczekiwane i przechodzące wszelką miarę opłakanych stosunków miejscowych.

Na drzwiach gmachu ogłosił, że każdy uczeń będzie mógł zawsze do woli korzystać z urządzeń zakładu – pod jednym wszakże warunkiem: że nie zajrzy nigdy do czerwono oprawnej, przepięknie ilustrowanej wielkiej encyklopedii Larousse'a, którą fundator umyślnie wyłożył na niskim stoliku w przedsionku szkoły. Gdyby który z uczniów, mimo to, do niej zajrzał, groziły mu dotkliwe kary i wykluczenie z zakładu – nieodwołalne.

Mówią, że zrobił tak dlatego, ponieważ pragnął mieć w zakładzie jedynie tych, którzy bezwzględnym posłuszeństwem i zupełnym zaufaniem do dyrekcji sami na pobyt w zakładzie zasłużą. Szanował godność ludzką i dlatego zostawiał młodym ludziom najzupełniejszą swobodę wyboru między posłuszeństwem oraz idealnymi warunkami w zakładzie a nieposłuszeństwem i fatalnym stanem naturalnym poza zakła-

dem. W każdym razie wiedział dobrze, że zaraz pierwszy wpisany nie oprze się pokusie, i oczekiwał tego, co miało nastąpić.

Spodziewany fakt zaszedł niedługo, a przyczynił się do tego dawny funkcjonariusz zakładu, który był zrazu zajęty przy budowie, został jednak później wydalony za nieposłuszeństwo. Fundator, który był absolutnym władcą w powiecie i w mieście, dozwalał mu przebywać w lokalu instytutu i wpływać na świeżo wpisaną młodzież. Znosił też i to, że usunięty ze służby funkcjonariusz otworzył sobie naprzeciw lichą szkołę konkurencyjną dawnego typu, w której chłopcy się marnowali i cierpieli. W tej też mordowni zamierzał usunięty, za milczącym zezwoleniem władzy, gromadzić wszystkich, którychby filantrop ze swego zakładu usunął.

Namówił więc zaraz pierwszych wpisanych, dziesięcioletniego ciekawego Gandzi i jego młodszego o rok braciszka, żeby zaczęli zwiedzanie zakładu od obejrzenia encyklopedii w przedsionku, gdzie znajdą wiele zajmujących i cennych wiadomości.

Dyrektor, który czekał na ten objaw z góry przewidywany, ukrywszy się na galerii pierwszego piętra, zaskoczył uczniów niespodziewanie nad kolorowymi ilustracjami książki, ukarał ich za jawne nieposłuszeństwo nadzwyczaj dotkliwie i wykluczył ich raz na zawsze z zakładu. Urządzenia instytucji w tej chwili pozamykał. Mówią, że przeniósł je za granicę, podobno do Stanów Zjednoczonych Am. Półn. W każdym razie postawił w bramie woźnego z nabitą bronią, żeby młodzież gwałtem nie opanowała instytucji, do której nie miała żadnego prawa.

Jako człowiek, od którego wszystko zależało w powiecie, ścigał też dotkliwymi zarządzeniami nie tylko pierwszych dwóch, ale również wszystkich następnych uczniów z całego powiatu, którzy nigdy encyklopedii Larousse'a nie oglądali.

Przez trzydzieści lat żaden chłopak nie miał wstępu do znakomitych urządzeń zakładu, o których tylko głuche wieści chodziły – wszyscy musieli poprzestawać na urządzeniach prymitywnych, nie o wiele różnych od szkółki z przeciwka. Filantrop znosił je również i pod swoim osobistym zarządzeniem w okolicy dawnego instytutu. Wpływy usuniętego rosły też z każdym rokiem. Postępowanie takie dyktowało kierownikowi jego wygórowane poczucie sprawiedliwości. Było to bowiem należytą karą za nieposłuszeństwo wobec rozkazów dyrekcji, którego się byli dopuścili przed trzydziestu laty dwaj pierwsi wpisani. Mogli byli posłuchać rozkazu lub go nie usłuchać. Wina ciążyła na młodzieży miejscowej.

Nie było sposobu, żeby przeprosić sprawiedliwego miłośnika młodzieży, był bowiem osobistością tak wysoko postawioną, że nikt mu nie dorównywał godnością – nawet w przybliżeniu.

Dopiero w trzydzieści jeden lat po założeniu instytutu kierownik, łącząc sprawiedliwość z miłosierdziem, wpisał, jak to od razu zamierzał, do zakładu swego rodzonego wnuka po siostrze, który się dobrowolnie podjął tej roli i, będąc w zakładzie czas jakiś, starał się szerzyć wśród kolegów zaufanie i sympatię dla swego dostojnego dziadka, z którym się za jedno i to samo uważał, oraz wpływać łagodząco na obyczaje swych nielicznych najbliższych kolegów.

Dyrektor zatem dopuścił do tego, że wzorowego chłopaka niechętni koledzy zbili pewnego razu umyślnie do krwi za to, że, będąc uczniem jak i inni, śmiał się podawać za potomka radży. Tym sposobem sprawiedliwości stało się zadość, ponieważ został boleśnie wysmagany i pokaleczony ze znacznym upływem krwi najlepszy uczeń zakładu, i to nie byle kto, ale uczeń wysokiego rodu, najbliższy krewny dyrektora, czyli uczeń-dyrektor. Satysfakcja więc była wystarczająca i należyta. Polała się krew. Teraz już nic w zasadzie nie dzieliło filantropa od jego ukochanej dziatwy.

Od tego czasu zatem nic się nie zmieniło w miasteczku w praktyce. Natomiast od młodzieży, wpisującej się wciąż do zakładu, wymagano nadziei, że po ukończeniu ośmiu klas w dawnych, opłakanych warunkach na miejscu, znakomite instytucje, przeniesione, jak mówiono, do innego kraju, będą ewentualnie przystępne dla uczniów posłusznych, pracowitych i wzorowych, którzy nie stracą zaufania w dobre chęci dyrekcji, a uzyskają formalne świadectwo od funkcjonariuszów instytutu. Dla nieposłusznych i wykluczonych lub nieufnych i niechętnych stał nadal otworem fatalny zakład konkurencyjny".

Mówią, że Dewanagiri to niedościgniony wzór człowieka dobrego pod każdym względem, cieszy się też powszechnym szacunkiem w kołach związanych ze szkołą jego imienia w Silcharze. Podają go za doskonały przykład do naśladowania, a opowiadanie powyższe uchodzi tam za wyraz najwyższej pochwały dla fundatora.